

RYBA PŁYNIE ZA MORDERCĄ



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

RYBA PŁYNIE
ZA MORDERCĄ

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-66719-61-3

Copyright © Ireneusz Iredyński

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

I

Dnia czwartego czerwca 195... roku siedziałem w moim biurze przy placu Garibaldiiego. Przez okno wpadały promienie słoneczne, nadając intensywność pomarańczowemu obrazowi, który zdawał się płomieniem na tle białej ściany. Łokcie oparte miałem o blat biurka, głowę trzymałem w dłoniach; patrzyłem na leżący przede mną kartonik pokryty dużym, kanciastym pismem.

Pan Umberto Pesco – detektyw prywatny.

Będę w pańskim biurze w poniedziałek czwartego czerwca 195... r., o godzinie dziesiątej rano. Sprawa bardzo ważna.

Carlo Barenzo

Słowa: *sprawa bardzo ważna* były podkreślone. Bilecik otrzymałem w sobotę. Od czasu gdy go znalazłem na biurku wśród innej korespondencji, zastanawiałem się kilka razy, co sprowadza do mojego biura Carla Barenzo, znanego potentata filmowego. Wiedziałem, że do mego przyszłego klienta należy kilka wytwórni filmowych oraz że jest on akcjonariuszem wielkiego amerykańskiego towarzystwa filmowego. Wiadomości moje pochodziły z tygodników filmowych i dzienników popołudniowych. Większość filmów włoskich zrobiona została dzięki pieniądзом człowieka, który wysłał do mnie tajemniczy bilecik.

Tyle wiedziałem do soboty. Przez niedzielę zebrałem o wiele więcej informacji. Jak się dowiedziałem, Carlo Barenzo wyemigrował w młodości do USA; wrócił z Ameryki jako bogacz w roku 1945. Obecnie miał lat czterdzieści sześć. Ożenił się przed trzema laty z aktorką filmową która stała się sławną przez uczucie, jakie do niej żywił „król filmu”.

Carlo Barenzo najchętniej przebywał w swojej willi wybudowanej na krańcach miasteczka Lugaro. Majątek jego szacowano na około 80 milionów dolarów. W lirach wyniosło to setki, a właściwie tysiące milionów. Jedynym „hobby” milionera było dobre jedzenie. Z relacji moich informatorów wynikało, że trzymał on kilku kucharzy, specjalistów od narodowych kuchni. Słyszałem o kucharzu francuskim, perskim, hiszpańskim i angielskim. Co do umiejętności tego ostatniego nie miałem większego przekonania. Ostatecznie jednak utrzymywał go Carlo Barenzo, więc moje zdanie nie było tu najważniejsze.

Wskazówki kwadratowego zegara stojącego na biurku wskazywały godzinę dziesiątą. Wtedy usłyszałem pukanie. Powiedziałem: „proszę”, otworzyły się drzwi i zobaczyłem niskiego grubasa. Lekkim, jak na jego wagę, krokiem podszedł do biurka, przy którym siedziałem. Przywitaliśmy się krótkim, silnym uściskiem dłoni. Wskazałem gościowi krzesło. W milczeniu podsunąłem mu pudełko papierosów. Wziął papierosa krótkimi, tłustymi palcami. Skóra jego dłoni była biała i delikatna. Zapaliliśmy.

– Dostał pan list? – spytał potentat filmowy.

Odpowiedziałem skinieniem głowy. Siedzący naprzeciw mnie mężczyzna uśmiechnął się zadowolony. Uśmiech trwał jednak bardzo krótko. Wargi skurczyły się i w chwilę potem zacisnęły na papierosie. Mogło się zdawać, iż facet zrzuca ze swojej twarzy maskę.

– To cholernie nieprzyjemna sprawa – odezwał się zza obłoczku dymu.

Uważałem za stosowne nie odzywać się.

– Tak – powtórzył – to cholernie nieprzyjemna sprawa.

Popatrzyłem nad jego głowę na płonący gorącymi kolorami obraz.

– Dlatego tu właśnie przyjechałem – dorzucił tonem wyjaśnienia.

Strzepnąłem popiół z końca papierosa i zacząłem wpatrywać się w zegar.

– Ma tu pan coś do picia?

Skinąłem głową i podniosłem się z krzesła. Z lodówki wyjąłem wermut i wodę sodową. Postawiłem płyny i szklaneczkę przed grubasem i zająłem poprzednią pozycję za biurkiem.

– Dużo o panu słyszałem – wysapał między jednym łykiem a drugim. Zacząłem oglądać paznokcie mojej prawej ręki.

– Dlaczego pan nic nie mówi? – spytał bogacz, odstawiając szklaneczkę.

– Nie mam na razie o czym – odpowiedziałem.

– Słusznie, słusznie – wyjął z kieszeni chusteczkę; otarł nią wargi i czoło. – Wie pan – przy tych słowach twarz jego wykrzywiła się w uśmiechu, który zaraz zniknął – wie pan, ostatnio boję się. – Zgasił papierosa, silnie naciskając niedopałkiem na popielniczkę.

Podsunałem mu paczkę, wziął świeżego papierosa, zapalił i zaczął wpatrywać się w okno.

– Nie jest to wymysł bogatego, nudzącego się człowieka – ciągnął, wpatrzony nadal w okno. – Po prostu dostaję ostrzeżenia telefoniczne. „Niedługo zginiesz” albo coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że telefonują ludzie, którzy przyjechali z Ameryki. Miałem tam kilka nieprzyjemnych spraw, wprawdzie było to dość dawno, ale nikt inny nie mógłby grozić mi śmiercią. Dlatego mam dla pana pewną propozycję. Od jutra będzie pan przy mnie, nie będzie to długo trwało, najwyżej miesiąc. Sądzę, że sprawa po miesiącu powinna się wyklarować. Zgadza się pan?

Patrzył na mnie, poruszając przy oddychaniu swymi grubymi wargami; ruch jego warg skojarzył mi się ze skurczami pyszczki ryby wyjętej z wody.

– Mam przez miesiąc być przy panu, podczas jedzenia, przejażdżki, konferencji i innych rzeczy. Czy tak?

– Niezupełnie – odparł. – Nie będzie żadnych konferencji. Zamieszkamy w mojej willi położonej tuż za miasteczkiem Lugaro. Wie pan, gdzie to jest?

Skinąłem głową. Przez chwilę patrzyłem na obraz.

– Zgadza się – powiedziałem.

– Pańskie wynagrodzenie jest płatne z góry – rzekł tonem wyjaśnienia.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął książeczkę czekową, wydarł z niej wypełniony już blankiet i położył go na biurku. Zauważyłem liczbę i napis: *dwa miliony lirów*. Kiedy książeczka znikła na powrót w jego kieszeni, chwycił szklaneczkę, nalał do niej wermutu i wody i łąpczywie wypił.

– Przyjadę jutro po pana o godzinie jedenastej przed południem.

– Dobrze, będę czekał.

Carlo Barenzo wstał, podał mi mięką, białą dłoń, odwrócił się i odszedł lekkim, kołyszącym się krokiem. Cicho trzasnęły drzwi.

Popatrzyłem na zegar. Wizyta trwała zaledwie dziesięć minut. Wyciągnąłem z biurka roczniki pism kryminalistycznych z lat 1948–1949 i zagłębiłem się w lekturze. Od czasu do czasu notowałem ciekawsze wypadki. Zaciekawiał mnie opis morderstwa popełnionego w Marsylii w roku 1948. Pewnego dnia znaleziono leżącego na ulicy mężczyznę. Sekcja zwłok wykazała, że mężczyzna został zamordowany cienkim, ostrym narzędziem wprowadzonym przez kark do czwartej komory. Tak zamordować potrafi jedynie człowiek doświadczony, tj. lekarz. Policja zaczęła szukać wśród przyjaciół i znajomych zamordowanego. Zidentyfikowano, iż zamordowany był adwokatem zajmującym się nie bardzo czystymi interesami. Mordercą okazał się lekarz, przyjaciel adwokata. Nie zdołano ustalić przyczyn morderstwa. Lekarz – zabójca został skazany.

Kiedy skończyłem czytać tę historię opisaną pompatycznym stylem przez francuskiego kryminologa, zadzwonił telefon. Odsunąłem od siebie roczniki, przypadkowo spojrzałem na zegarek, była godzina jedenasta. Podniosłem słuchawkę. Do ucha wlatywały mi słowa wypowiedane przez jakiegoś mężczyznę.

– Pan Umberto Pesco? Tak?! – Niech się pan wycofa z tej imprezy, można oberwać razem z klientem, więc się lepiej wycofać. Czy to takie przyjemne nosić w brzuchu nóż albo kulkę? Co? Żądam w tej chwili odpowiedzi!

– Jeżeli żądasz odpowiedzi – odparłem, nie podnosząc głosu – to przyjdź, chłopczyku, do mego biura. Skuję ci pięknie buzię, tak że odzwyczaisz się przeszkadzać ludziom w pracy.

Z drugiej strony przewodu słuchawka opadła na widełki. Uśmiechnąłem się. Roczniki zajęły na powrót honorowe miejsce na biurku.

O godzinie dwunastej wszedł do mego biura Franco Garden, pracownik oddziału zabójstw przy Głównej Komendzie Policji w Rzymie, malarz amator, którego obraz wisiał w mym biurze.

– Warto by coś zjeść – powiedział na powitanie.

– Masz jeszcze godzinę – uspokoiłem go.

– Co nowego?

Opowiedziałem mu o wizycie Carla Barenzo i telefonie.

– Przyniosę ci piękny bukiet kwiatów na trumnę – pocieszył mnie Franco.

– Wieniec jest bardziej estetyczny od bukietu.

– Dobrze, będzie wieniec – zgodził się postrach morderców.

Rozmawialiśmy w ten sposób do godziny pierwszej. Potem wstaliśmy jak na komendę, spojrzeliśmy na płonący kolorami obraz i, uśmiechnięci, zgodnie podążyliśmy ku wyjściu.

Na ulicy czekała moja nowa lancia, którą kupiłem dzięki rozszyfrowaniu sprawy nazwanej przez dziennikarzy „Niebieską kartą”. Kilkanaście minut potem siedzieliśmy w dobrej restauracji. Wśród szumu rozmów wybijał się głos Franca, który głośno namyślał się, jakie wybrać przekąski.

II

Przy kawie dosiadła się do nas grupa przyjaciół Franca. Dziennikarze i karykaturzyści. Byłem trochę senny po obfitym obiedzie, dlatego chętnie wypilem dwa koniaki.

Jeden z dziennikarzy, chudzielec o latającej dużej grdyce wspominał jakąś angielską turystkę; jego kolega przerywał mu co chwilę, przypominając niektóre szczegóły. Zniecierpliwiony chudzielec machał rozpaczliwie ramionami, przeginał się do tyłu, wybałuszał oczy. Nic to jednak nie pomagało, kolega był bezlitosny, wtrącał w dalszym ciągu swoje uwagi.

– Prawda jest najważniejsza – skrzeczał.

Zniecierpliwiony chudzielec przestał snuć wspomnienia o Angielce, z czego skorzystał pucołowaty karykaturzysta, prosząc Franca, by opowiedział o ciekawym przypadku ze swej praktyki. Franco zaczął pleść bujdy. Były tam jakieś pogonie za tajemniczym wynalazcą, przewijały się piękne kobiety trucicielki, szczękały maszyny do wyjaśniania myśli. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem, chudzielcowi miarowo poruszała się grdyka, pucołowaty karykaturzysta tał kciukiem podbródek; było to bardzo wesołe. Patrzyłem na mojego przyjaciela, jak łąał z wesołym grymasem twarzy; był teraz bardzo podobny do swego dziadka Anglika, który przyjechał do Włoch na miesięczny pobyt, a pozostał na stałe. Portret dziadka wisiał w pracowni Franca na najlepiej oświetlonej ścianie.

Z ust Franca wyskakiwały właśnie nagie trucicielki, gdy stanął przed nim restaurator i z przepraszającym uśmiechem wskazał na telefon.

– Chodź, musimy się spieszyć – powiedział Franco po wyjściu z kabiny telefonicznej – zamordowano twojego klienta.

– Kogo zamordowano? – wykrzyknął chudy dziennikarz – niech nam pan powie!

– Zamordowano Carla Barenzo.

– Boże, wszyscy święci, cóż za sensacja, jak go zamordowano?!

– Nic jeszcze nie wiadomo.

– Słuchaj, jak się czegoś dowiesz, zatelefonuj – zwrócił się do Gardena.

– Dobrze, jak się tylko czegoś dowiem, zatelefonuję.

Poszliśmy ku drzwiom. Wychodząc, słyszeliśmy histeryczne zawroźnienie dziennikarza: „Święta Panienko, zamordowali go!”

Wsiedliśmy do lancii. Ja prowadziłem, a Franco opowiadał o telefonie z wydziału zabójstw.

– Wiedzą, gdzie zawsze jadam obiady. Zatelefonował sierżant Matara. Oni dostali meldunek z hotelu Santa Caterina. Drugorzędny hotelik. Dziś rano Carlo Barenzo wynajął tam pokój.

– To dziwne – rzekłem – miał przecież wspaniały apartament przy via Repubblica.

– Chciał coś załatwić tak, żeby nikt o tym nie wiedział – odparł Garden, nie odwracając głowy. – Swoją drogą to nie musiały być krystaliczne sprawy. Magnaci filmowi niezbyt często korzystają z brudnych hotelików.

– Spozostzegawczość godna porucznika policji – powiedziałem z uśmiechem.

– Będiesz się zajmował tą sprawą? – spytał.

– Wystawił mi czek na dwa miliony lirów. Miałem go bronić. Nic z tego nie wyszło. Będę szukał mordercy. Sprawa chyba jest jasna.

– Ostatecznie masz czek w kieszeni, nie musisz się do tego mieszać.

– Nie bądź durniem, coś mi się zdaje, że wyszedłeś na świat za pomocą kleszczy. A ten przyrząd zmienia kształt czaszki.

– Jak chcesz – mruknął, zapalając dwa papierosy. Jednego wsadził mi do ust. Podziękowałem skinieniem głowy. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Garden patrzył przed siebie; kątem oka dostrzegłem jego piękny profil. Usta miał zaciśnięte.

– Jak go zamordowano?

– Nożem.

Lancia wymijała na dużej szybkości auta i skutery. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w hoteliku. Nie odzywaliśmy się już do końca drogi.

Hotel Santa Caterina był dwupiętrową kamienicą zbudowaną w początkach stulecia. Z zewnątrz prezentował się okropnie. Odłupane ozdoby, jakich pełno jest na budowach sprzed pięćdziesięciu lat, wytworzyły dziury; tynk był nieokreślonej barwy. Na wysokości pierwszego piętra nie było go wcale, ciemna cegła sprawiała przygnębiające wrażenie. Tablica z napisem „Albergo Santa Caterina” namalowana została przez nie najlepszego lakiernika. Przed bramą stał tłum gapiów. Przepuścił nas wysoki, przystojny policjant.

– Czy przyjechali wszyscy? – spytał Garden.

– Tak, panie poruczniku – odpowiedział policjant. Akcent miał sycylijski.

Weszliśmy do sieni. Po prawej stronie znajdowała się portiernia, oszklona od strony korytarza. Wewnątrz, obok tablicy z kluczami, siedział pomarszczony staruszek z fajką w zębach. Skóra na jego twarzy miała ciemnobrązową barwę, małe czarne oczka wbite były w jeden punkt. Przy schodach stał policjant.

– Pierwsze piętro, panie poruczniku – odezwał się patrząc Gardenowi w oczy.

Na schodach leżał przetarty czerwony chodnik. Mosiężne pręty, przytrzymujące go na każdym stopniu, od dawna nie były czyszczone. Na korytarzu pierwszego piętra stała gruba kobieta. Miała na pewno czterdzieści pięć lat.

– Jaki wstyd dla mojego hotelu – lamentowała – taki porządny hotel i nagle taki wstyd. Każdy policjant w naszej dzielnicy może zaświadczyć, jaki to porządny hotel! Każdy policjant, o Święta Panno.

Minęliśmy ją, obejrzała się za nami i znowu zaczęła kontynuować swe okrzyki. Przy drzwiach pokoju nr 17 stał tajniak. Przyłożył palec do skroni na znak powitania. Garden kiwnął mu głową.

Pokój, w którym zamordowano Carla Barenzo, miał ściany obite zielonkawą tapetą. Sprzętów było mało. Mosiężne łóżko, dwa krzesła, pod stołem leżał nieduży, wytarty dywan. Okno wychodziło na ślepą uliczkę zabudowaną małymi, koślawymi kamieniczkami.

Po pokoju kręcił się fotograf; lekarz stał oparty o ścianę, a sierżant Matara siedział na krześle, trzymając ręce w kieszeniach.

- Czołem, szefie – powiedział, wstając.
- Wszystko zrobione? – spytał Garden.
- Ma się rozumieć, że wszystko – zatrajkotał fotograf.
- Nie żyje od godziny – stwierdził lekarz.

Odkryłem prześcieradło, którym był przykryty denat. Carlo Barenzo leżał na łóżku z wykrzywionymi ramionami. Brzuch sterczał mu jak miniaturowa góra. Na twarzy miał brzydki grymas. Łóżko było zalane krwią. Z lewej strony, przez odpiętą koszulę, widać było ranę. Pochyliliśmy się nad ciałem.

- W samo serce – dorzucił lekarz.
- Musiał się bać – powiedziałem cicho, przykrywając znowu mojego klienta.
- Tak, musiał się bać – powtórzył Garden, patrząc na bryłę przykrytą prześcieradłem.
- Idziemy – powiedzieli równocześnie fotograf i lekarz.

Garden skinął głową.

Lekarz wyszedł. Po chwili wrócił z dwoma mężczyznami. Zabrali ciało. Za nimi wyszedł fotograf.

– Paskudna robota, szefie – odezwał się Matara – zrobi się koło tego huk, to był sławny facet, a pan – zwrócił się do mnie – chce na pewno szybciej od nas załatwić tę sprawę, co?

– Bardzo możliwe – odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

Zmieszał się i zaczął wpatrywać się w czubki swych butów.

– Rozmawiałeś już z tą grubą? – spytał go Garden.

– Trochę rozmawiałem, ale nic z tego nie wyszło. Lamentowała cały czas, że to dla niej wielki wstyd. A jeżeli nie jestem głupcem, to coś mi się zdaje, że ten hotel ma wiele wspólnego z burdelem.

– Wcale bym się nie dziwił – zachichotał mój przyjaciel. – Zawołaj ją tutaj – powiedział do Matary.

Matara wybiegł i po chwili wrócił z grubą kobietą.

– Proszę usiąść – odezwał się Garden.

Kobieta miała tłuste policzki i ciemny zarost na

górną wardze. – Wie pani, jak się nazywa zamordowany?

– Nie wiem, nie zdążył się wpisać. Taki wstyd, o Panno Najświętsza.

– O której godzinie przybył tutaj? – spytałem.

– Punkt dziesiąta, akurat myślałam, co kupić na obiad.

– Niech pani nie kłamie. O dziesiątej on był u mnie.

Spojrzała na mnie, a potem jej spojrzenie uciekło w bok.

– To może był trochę później.

– Chcę wiedzieć dokładnie!

– Nie wiem, on przyszedł około dziesiątej.

– Męża pani nie ma? – wtrącił się Franco.

– Zginął na wojnie.

– Gdzie?

– W Mediolanie, był policjantem i zabili go partyzanci.

– Kto to jest ten staruszek w portierni? – pytał dalej Garden.

- Mój ojciec.
 - Czy ten, którego zamordowano, wychodził z hotelu.
 - Tak.
 - Ile razy?
 - Raz wyszedł około jedenastej i wrócił po dziesięciu minutach.
 - Co pani robiła od godziny dwunastej do pierwszej?
 - Byłam na policji. Wszyscy mogą poświadczyć.
 - Po co tam pani była?
- Kobieta spojrzała na Gardena. Przez jej twarz przebiegł skurcz. Trwało to ułamek sekundy. Po tym spojrzeniu i błyskawicznym opanowaniu grymasu poznałem, że kobieta nie jest taka głupia, za jaką chce uchodzić.
- Zawsze chodzę na policję, kiedy mi jakiś policjant powie, że coś nie jest w porządku z moim hotelem.
 - Czego chcieli policjanci?
 - Widzieli koło hotelu jakieś kobiety zaczepiające mężczyzn, myśleli, że ja mam coś z tym wspólnego.
 - Nie miała pani? – spytał Garden, wymieniając z Matarą porozumiewawcze spojrzenie.
 - Co też pan mówi! To jest porządny hotel.
 - Zawołaj Alberta – zwrócił się porucznik do sierżanta.
- Ten wyszedł na korytarz i wrócił z tajniakiem.
- Przeprowadź ojca tej pani, siedzi w portierni – polecił Garden tajniakowi.
- Po chwili do pokoju wszedł starszek.
- Może pani już iść – powiedział Franco do hotelarki.
- Popatrzyła na ojca i wyszła, kołysząc przesadnie szerokimi biodrami.
- Czy widział pan kogoś wchodzącego lub wychodzącego z hotelu między dwunastą a pierwszą?
 - Nie słyszę! – wykrzyknął starszek.
- Franco powtórzył pytanie.
- Nie widziałem, nikt nie wychodził.
 - Jest pan pewny?
 - Proszę mówić głośniej, nic nie słyszę!
 - Jest pan pewny?
 - Hi, hi, nikt nigdy nie jest pewny. Mogłem się zdrzemnąć, ale chyba się nie zdrzemnąłem... chociaż, kto wie? Może się zdrzemnąłem. Macie panowie papierosa?
- Podał mu pudełko. Wziął dwa papierosy, jednego wsadził do kieszeni, a drugiego zapalił.
- Dziękuję panu – powiedział głośno.
 - Widział pan kogoś czy nie? – ponowił pytanie Franco.
 - Niech pan powtórzy, nic nie usłyszałem.
 - Widział pan kogoś czy nie?
 - Nikogo. Ale nie wiem, czy się nie zdrzemnąłem. On się musiał sam zabić.
 - A nóż gdzie?
 - Nic nie słyszę.
 - Nie znaleziono noża.
 - Święta Panno... – zdziwił się starszek.
 - Może pan iść – powiedział Garden.
 - Co?
 - Może pan iść! – krzyknął starszkowi do ucha Matarą. – Pan porucznik mówi, że może pan odejść.
 - Dobrze, dobrze – zgodził się stary mężczyzna i podreptał ku drzwiom.

– Tu nic nie zrobimy – powiedział zmęczonym głosem Franco. – Przypuszczam, że mnie dadzą tę sprawę. Idziemy.

Wyszliśmy z hotelu, zostawiając za sobą lamentującą kobietę i wpatzonego w przestrzeń staruszka.

III

Franco wraz z Matarą wsiedli do policyjnego wozu.

– Jeżeli mnie dadzą tę sprawę, to zatelefonuję – powiedział, żegnając się.

– Życzę szczęścia – odezwał się z samochodu Matara. Ton jego głosu nie był zbyt pieszczotliwy.

Wsiadłem do lancii, włączyłem pierwszy bieg i pojechałem w kierunku ulicy św. Antoniego. Zatrzymałem się przy automacie telefonicznym. Wyjąłem z kieszeni notes i ołówek. Nakręciłem numer.

– Halo, kto mówi? – spytał męski głos.

– Tu Pesco, dziękuję ci za informacje w sprawie „króla filmu”. Mam do ciebie jedną sprawę. Podaj mi nazwiska jego najbliższych przyjaciół, ewentualnie przyjaciółek. No i oczywiście adresy.

Zapisałem w notesie kilka nazwisk. Przy końcu rozmowy powiedziałem:

– Twój ostatni film bardzo mi się podobał. Stajesz się dobrym reżyserem.

– Och, ty stary kłamco – odpowiedział mi głos.

Wsiadłem do lancii i po piętnastu minutach jazdy stanąłem przed piętrowym domem. Ulica było cicha, wysadzana drzewami. Zadzwoiłem. Bramę otworzył mi młody mężczyzna.

– Słucham pana?

– Pan Satellini?

– Tak.

– Zamordowano Carla Barenzo.

– O! Proszę wejść. Jestem dzisiaj sam w domu. Dlatego będzie pan musiał poczekać, aż doprowadzę się do porządku.

Zauważyłem, że mężczyzna jest w kąpielowym płaszczu. Czekałem w pokoju wyłożonym purpurowymi kafelkami. Sprawiało to dość dziwne wrażenie.

– Czym mogę panu służyć? – powiedział mężczyzna, siadając przede mną. – Pan jest z policji?

– Nie.

Wyjąłem wizytówkę i położyłem ją na stole.

– Chciałbym się dowiedzieć, kiedy był pan ostatni raz w Lugaro.

– Dwa tygodnie temu.

– Przecież Ines Lona wyjechała miesiąc temu do USA kręcić film.

– Co to ma znaczyć?! – wykrzyknął.

– To, co pan ma na myśli.

– Proszę w tej chwili wyjść!

– Ani mi się śni. Carlo Barenzo był moim klientem. Przed śmiercią oskarżał pana o wrogie zamiary.

Młody człowiek opadł na krzesło.

– To on wiedział o wszystkim, o Boże... – wyszeptał.

– Wiedział, ale za bardzo kochał żonę. Bał się skandalu i kochał żonę. To są powody, dla których nie zrzucił pana ze schodów. Jest pan podejrzany o morderstwo – dodałem.

– Ja... ależ to nieporozumienie.

– O czym pan rozmawiał w Lugaro z Carlem podczas ostatniego tam pobytu?

– O niczym. To znaczy o wszystkim. Wie pan, jak się rozmawia o pogodzie, polityce, znajomych.

– Wiem, ale to kłamstwo, co mi pan opowiada. Pan rozmawiał o czymś innym.

– Dość tego – poderwał się z krzesła. – Proszę w tej chwili wyjść albo panu pomogę...

Ty obrzydliwy szpiclu!

Nic na to nie odpowiedziałem.

– Wyjdź! W tej chwili!

Siedziałem, nie ruszając się. Facet przyskoczył i chwycił mnie za gors koszuli.

Wstałem. Prawa ręka faceta poleciała do tyłu. Chciał uderzyć.

Uprzedziłem go. Lewy sierpowy w podbródek. Satellini opadł na szeroki fotel. Wziąłem wizytówkę ze stołu i schowałem do kieszeni. Facet leżał na fotelu, ciężko dysząc. Bał się podnieść.

– Spotkamy się jeszcze – powiedziałem, idąc ku wyjściu.

– Spotkamy się – zawtórował mi Satellini.

– Nie wiem, czy to będzie dla ciebie miłe, aktorze.

Nic nie odpowiedział. Po tym milczeniu poznałem, że odezwanie było celne. Ta scena była za bardzo teatralna.

Pojechałem pod następny adres. Przez całą drogę gwizdałem „Marsza Żółtodziobów”. A gwizdzę wówczas, gdy jestem zadowolony.

– Chciałem się widzieć z panią Marią – powiedziałem pokojówce, która mi otworzyła drzwi.

Podąłem jej bilet wizytowy. Po chwili czekania pokojówka zaprowadziła mnie do środka. Przyjęła mnie kobieta piękna. Tyle tylko mogę o niej powiedzieć.

– Carlo Barenzo nie żyje – odezwałem się.

– O Boże – półgłosem rzekła kobieta.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kobieta nie płakała.

– Zamordowano go.

– Więc to była prawda – powiedziała wolno kobieta – więc to była prawda. Tak się bał. A ja mówiłam mu, że to głupstwa, że nie ma czym się przejmować. Och! Jak się musiał bać, gdy zobaczył mordercę.

– Na twarzy został mu grymas strachu. Większość ludzi też by się bała. Znajdziemy mordercę.

– Dlaczego pan mówi „znajdziemy”?

– Bo pani mi pomoże.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI